

6. PRZEZ WIELE UTRAPIEŃ

6. PRZEZ WIELE UTRAPIEŃ

Moje serce zarosło, stało się ugorem, porosło chwastami. Któregoś dnia pojawił się mąż, który zaczął orać moją duszę. Przybył on z dziesięcioma czarnymi końmi zaprzęgniętymi do pługa z ostrym lemieszem i zaczął orać głębokie bruzdy. Dziesięć koni - to dziesięć przykazań, a pług - to sprawiedliwość Boża, która głęboko rozdzierała mego ducha. Byłem przeklęty, beznadziejny, bezsilny, myślałem, że stoję już u bram piekła. Potem nadszedł czas, czas orania w drugim kierunku. Ewangelia przestała mnie cieszyć. Pragnąłem bardzo mieć w tym dział, lecz obawiałem się, że łaska nie jest już dla mnie. Wszystkie obietnice Boże wydawały mi się mroczne i nie dla mnie, natomiast miałem wrażenie, że spadną na mnie wszystkie przekleństwa. Modliłem się, ale nie przychodziła żadna odpowiedź. Nie miałem pokoju. Taki stan utrzymywał się przez długi czas. Bezwartościowe były dla nas obrzędy religijne. Były one jak puste butelki, w których nie było ani jednej kropli wody, wysuszone przez gorący pustynny wiatr. Bezwartościowe pobożne ceremonie, puste, jak wyschnięta studnia dla spragnionych Arabów, którzy nie mogli ugasić swego pragnienia. Bezwartościowi przyjaciele ciała, gorzcy jak wody Mara, której nawet tak bardzo wyschnięte usta Izraelitów pić nie chciały.

Bez wartości stają się wskazówki tych, którzy głoszą zakon, są one jak wycie wiejącego wiatru, nic nie znaczące dla wędrowca, którego zaskoczyła noc. Kłamstwo, do którego tak często uciekano, bez wartości, a nawet więcej niż bez wartości. Runęło na głowy bałwochwalców niczym świątynia dragona. W całym tym wielkim nieszczęściu i naszej nędzy została nam dana nadzieja i schronienie, aby się uratować: ARKA. Ratunek był w Panu, dokądkolwiek dotarła Arka, na północ na wschód, południe i zachód, wszystko było wodną przestrzenią. Ratunek był tam, gdzie zajaśniała gwiazda. Jezus, Jezus, JEZUS! Tylko On i nikt inny, jest tam jedynym schronieniem przed nadchodzącą burzą.

Przypominam sobie moją pierwszą modlitwę. Nie pamiętam jakich słów używałem, w każdym bądź razie było ich niewiele. Często modliłem się też powtarzając formułkę. Tak się przyzwyczaiłem, że dosyć często tak się modliłem. I kiedyś w końcu zacząłem modlić się naprawdę. Wtedy widziałem siebie stojącego przed Bogiem, czułem bliskość Tego, który badał moje serce i tak mówiłem w moim wnętrzu:

"Tylko ze słyszenia wiedziałem o Tobie, lecz teraz oko moje ujrzało Ciebie, przeto odwołuję moje słowa i kajam się w prochu i popiele." (Hiob 42, 5-6)

Czułem się jak stojąca przed królem Estera, byłem bezsilny i ogarnięty lękiem. Świadomy mojej grzeszności, ze skrucą w sercu stałem przed Jego majestatem. Szeptem wypowiadałem: "Boże, bądź

miłościw mnie grzesznemu", nic innego nie mogło mi przejść przez gardło. Wzdychałem do Boga.

Olśniewający blask Jego Majestatu, Jego czystość i jasność Jego potęga i wielkość obezwładniły moją duszę. Leżałem przed Nim jak nieżywy, przygnębiony na duchu powtarzałem moją prośbę: "Proszę Cię Boże, okaż łaskę i miłosierdzie nad takim grzesznikiem jak ja."

Zostałem naprawdę pociągnięty do Boga. Lecz gdzieś w głębi duszy czułem straszne cierpienie. Tracąc nadzieję, przestawałem się modlić i wołać do Boga. Potem czułem jak znowu Duch Boży podnosi mnie i stawia przed Bożym tronem. Ogarniał mnie strach, bałem się, że moje wołania pozostaną znowu bez odpowiedzi. Miałem wrażenie, że między mną, a niebem znajduje się wielki mur i nawet gdybym jeszcze gorliwiej wołał to i tak Pan zamknąłby się na moją modlitwę. Potem przypomniało mi się, że już raz Bóg wysłuchał mojej modlitwy, wtedy kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Nie pamiętam dokładnie, o co się wtedy modliłem, pewnie o jakąś drobną rzecz, ale wiem, że ta modlitwa była dla mnie wielkim przeżyciem, a Bóg jej wysłuchał. Wtedy wycisnęło się we mnie, jak pieczęć, głębokie przekonanie, że jest Bóg. Nie można ignorować tego, kiedy Duch Boży porusza sercami młodych ludzi. Nikt z nas nie jest w stanie oszacować w jakim wieku dziecko zdolne jest do tego, aby się nawrócić. Wiem, że łaska Boża pracuje nad dzieckiem już w bardzo wczesnym wieku. Pamiętam, że kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, byłem bardzo wrażliwy na zło i grzech. Ale teraz miałem wyschnięte kości. Czułem jak w dzień i noc ciążyła na mnie ręka Pańska. Chciałem być uratowany, bo czułem jak moja dusza wysycha we mnie. Zakon Boży bił mnie swoim dziesięciobrzemiennym biczem i obmywał słoną wodą. Ma dusza trzęsła się we mnie z bólu i cierpienia. Moja dusza powoli zamierała. Przepelniony byłem smutkiem. Mój nędzny stan z pewnością po to mi został dany, żebym szukał ratunku i zaczął wzywać Jezusa.

Nasz Niebiański Ojciec doprowadzi nas do takiego momentu, aż zaczniemy szukać Zbawiciela, lecz zanim to uczyni, najpierw zburzy w nas poleganie na samym sobie. Zanim doprowadzi nas do tego, żeby szukać tego, co w gorze, pozwoli najpierw poprobować, jak smakuje cierpienie i wyrzuty sumienia.

Taki stan jest ciężki do zniesienia, to przedsmak cierpień, jakie czekają na każdego w gehennie, każdego, kto nie przyjdzie do Zbawiciela po ratunek.

Choroba to coś strasznego, zwłaszcza jeśli jest powiązana z cierpieniem. Jeśli ciało dręczone jest chorobą to i duch jest przygnębiony, wysychamy wtedy niczym gliniana skorupa na pustyni. Poświadczyć mogę wam, że choćby nawet była to najstraszniejsza choroba ciała, jednak jest ona niczym w porównaniu z chorobą duszy i jej cierpieniami związanymi ze świadomością własnego grzechu i jego rozmiarami. Ciężko mi było wtedy, kiedy byłem w tym stanie. A będąc w tym stanie, jednocześnie rozpoznawałem wielkość Bożej łaski. Ale zanim doszło to do mnie, że muszę się ratować, myślałem, że wcale nie jestem taki zły i wcale nie mam takich wielkich grzechów, no i że w ogóle jest ich niewiele. Zagrzebałem je wszystkie w mojej niepamięci i czułem się jakby ich w ogóle nie było. Jakby były dla mnie martwe. Ale kiedy one ożyły, to było ich tyle, że nie mogłem ich wszystkich policzyć, tak jak nie da się policzyć piasku morskiego.

Czy kiedykolwiek był taki niewolnik jak ja? Którego dusza tak wiele wycierpiała jak moja? Pięć lat byłem niewolnikiem, zamkniętym w niewoli związany zakonem. Młodość mego ducha przedwcześnie się zestarzała, a to, co zdało się być dziecięce we mnie, prawie zanikło i stało się niedostrzegalne. Grzeszyłem, lecz grzech mnie nie cieszył. Prawo Boże wstrzymywało mnie od czynienia strasznych rzeczy. Wiem, że Bóg mnie chronił. Tysiąc razy dziękowałem Mu wtedy, kiedy pożądliwość rosła w moim sercu, to jednak Bóg zachowywał mnie i nie było większych okazji, aby grzeszyć. A kiedy nadarzały się okazje, to już później sam nie miałem ochoty. Kiedy byłem pod zakonem, nie miałem w sercu pokoju. Kiedy źle

czyniłem, myślałem, że mogę to zadośćuczynić roniąc kilka łez z moich oczu. Prawo podstawilo mi lustro, abym się w nim przejrzał, lecz poprzez łzy, nie potrafiłem dostrzec mojej twarzy. One zamazywały cały obraz. Zakon sprawił mi tylko zmartwienie i problemy. Uwięził mnie w żelaznej klatce i nie wiedziałem, jak się mam stamtąd wydostać. Kiedy odkryłem duchowy wymiar prawa, zaczęło mnie to przygnębiać. Kiedy prawo mówiło: "Nie będziesz cudzołożyl!" - to odpowiadałem sobie - "Przecież jeszcze nigdy nie cudzołożyłem.", a gdy przeczytałem, jak to brzmiało w prawie Pana Jezusa: "A Ja wam powiadam, że każdy kto patrzy na niewiastę i pożąda jej, już popełnił z nią cudzołóstwo w sercu swoim." Kiedy prawo mówi: "Nie kradnij", a ja sobie mówiłem - "Przecież jeszcze nic nie ukradłem.", to odkryłem, że kiedy pożądałem rzeczy, która do mnie nie należy, to już zgrzeszyłem w sercu swoim.

Zakon Ducha wprowadził mnie w zakłopotanie. Nie miałem żadnej nadziei, aby sprostać takiemu prawu. Widziałem tego, który mnie mocno trzymał i był bezlitosny. Zakon nie ma nic wspólnego z łaską. Łaska wyszła z innych ust i z innego przymierza. Zanim przyszła wiara byłem "zamknięty i trzymany pod strażą zakonu, dopóki wiara nie została objawiona" Gal.3,23.

Śmiało mogę powiedzieć, że człowiek jeśli nie jest pod łaską, to jest pod zakonem, w niewoli, robi wszystko, bo musi.

Zanim otrzymałem wolność w jakiej chodzi dziecko Boże, to chodziłem do domu Bożego z przymusu - bo musiałem. Modliłem się dlatego, bo się bałem, że jak się nie pomodlę to spadnie na mnie jakieś nieszczęście. A jeśli już dziękowałem za okazaną mi łaskę, to tylko z obawy, że gdybym tego nie uczynił, to Bóg już nigdy by nie był dla mnie łaskawy. A jeśli uczyniłem coś dobrego, to miałem taką nadzieję, że zostanie mi to zapłacone, i że jako zapłatę otrzymam w niebie koronę.

Byłem niewolnikiem, podobnie jak Gibeonita, który był przeznaczony do noszenia wody i drewna. Gdybym tylko mógł, jakże chętnie bym się uwolnił.

Jeśli miałem żyć po swojemu, to z pewnością do kościoła bym nie chodził i nie miałbym prawdopodobnie nic wspólnego z jakąkolwiek religią. Robiłbym, co bym chciał, żyłbym tak jak świat i kroczyłbym drogą diabła.

Opowiesz mi dziejach Izraela, gdy znajdował się w niewoli Egipskiej, kiedy musieli wykonywać tą samą ilość cegieł, nie otrzymawszy przy tym żadnej słomy.

Opowiesz mi o ciemnoskórym niewolniku i stojącym zawsze obok niego nadzorcy z biczem w ręku. Zgodzę się z tobą, że mieli oni straszne życie, ciężkie do zniesienia. Ale ja znam jeszcze gorszy rodzaj niewolnictwa. To niewola grzechu, w której znajduje się przestraszony człowiek, zniewolony swoim grzechem. Jest to ciężar, którego unieść nie może, który go coraz bardziej przytłacza. Spytaj go kim jest, a on ci opowie: " Zgubionym nieszczęśliwym", spytaj go, jak się czuje, a on ci odpowie: "Jak wcielona nędza", a gdy się go spytasz: „Co się z nim stanie?” - opowie ci: "Idę na zatracenie prosto do piekła, bo nie ma już dla mnie żadnej nadziei."

Myślę, że w takim stanie znajduje się bardzo wiele ludzi. Ja również byłem w takim stanie. Chociaż czytałem Biblię, to widziałem w niej same spadające na człowieka przekleństwa, jakby były wypisane wielkimi literami i oczywiście wszystkie kierowałem pod mój adres. Znajdujące się w Słowie obietnice, ledwo dostrzegałem, jakby zapisane były bardzo małymi literkami tak, że ich prawie nie widziałem. A jeśli udało mi się je zauważyć to wmawiałem sobie, że one nie dotyczą mnie i kierowane są do kogoś innego, ale z pewnością nie do mnie. A kiedy przeczytałem: "kto nie wierzy, będzie przeklęty" to od razu

wiedziałem, że to jest dla mnie: "To jestem ja!"

Gdy czytałem: "Przyjdźcie do mnie wszyscy spracowani i obciążeni, ja wam dam ukojenie dla dusz waszych", to te słowa kierowałem pod adresem mojego brata albo siostry, ale nie mój, albo jeszcze do kogoś innego, o kim wiedziałem, że jest spracowany i obciążony. Mówię o tym z własnego doświadczenia, a nie ze słyszanych opowieści. Czasami trudno to sobie wyobrazić, kiedy mówię o ludziach, którzy przechodzili ciężkie próby i byli strasznie kuszeni przez diabła.

Kiedy Jon Bunyan był doświadczany, mówił on o tym, jak diabeł próbował podważyć jego wiarę w egzystencję Boga, w prawdomówność Słowa Bożego, a także w człowieczeństwo Chrystusa i Jego boskości.

Przypominam sobie taki dzień, kiedy nade mną pojawiły się czarne chmury i przechodziłem straszne doświadczenie. Nigdy w życiu nikt z moich ust nie usłyszał żadnego bluźnierstwa i nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej jakieś bluźnierstwa słyszał. A tu nagle zacząłem być bombardowany bluźnierczymi myślami i to przeciwko Najwyższemu. Przez około pół godziny byłem takimi myślami bombardowany. Nie umiałem sobie poradzić. Wołałem do Boga. Próba została zakończona, ale w kilka dni później pojawiły się te same myśli. Poszedłem z tym do starszego zboru i powiedziałem mu o tym. Odpowiedział: "Słyszałem, że w podobny sposób było doświadczanych wielu Bożych ludzi. Ale powiedz mi, czy ty tak naprawdę myślisz? Czy są to twoje myśli?"

"Ja nienawidzę tych myśli" - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. "No to w takim razie to nie są twoje myśli. Więc zrób z nimi porządek i odeślij je tam skąd pochodzą - do diabła, bo on jest ich ojcem. To są jego myśli, a nie twoje."

Był taki czas, że stałem na granicy ateizmu. I nie dziwiłbym się, gdyby mi ktoś opowiedział, że przechodził coś podobnego. Zacząłem we wszystko wątpić. Tak jest, jeśli szatan znajdzie jakąś wrażliwą i lękliwą duszę, to zacznie na niej wyciskać swój stempel wiarołomstwa. Ale dzięki Bogu, że jeśli grzesznik szczerym sercem szuka Boga, to szatanowi się to nie udaje. Myślę, że dla człowieka, który musi staczać bój wiary w momencie, kiedy zostaje wyrwany z królestwa szatana i przeniesiony do Królestwa Syna Bożego, staje się mu to potem błogosławieństwem. Wcześniej czy później, ale każdy mąż Boży musi stoczyć bój o wiarę z księciem ciemności. Wiem, że takie doświadczenia są pomocne innym i dodają otuchy w walce ze złem. Jeśli usłyszysz, że brat w Chrystusie przechodził podobne doświadczenia, w których dzięki Panu odniósł zwycięstwo, to dodaje ci to otuchy i siły, aby przejść przez to doświadczenie i wiesz, że nie jesteś sam, który takie próby przechodzi. Niektórzy żeglują statkiem, który nosi nazwę: "statek własnej sprawiedliwości". Tacy ludzie spodziewają się, że dopłyną nim do nieba. A ja wam mówię, że taki statek nie doprowadził nigdy żadnej duszy do nieba.

Własna sprawiedliwość - jest drogą prowadzącą szybko do wielkiego upadku, zresztą podobnie jak grzech. Dlatego cieszę się, jeśli na taki statek zaczną uderzać fale morskie poruszone wielkim szturmem, zaczyna być miotany i rozbija się o nadzieję, która nagle się przed nim pojawiła. Cieszę się widząc taki statek rozbity na kawałki, który zaczyna tonać, a będący w nim ludzie, w porę uchwyciwszy się nadziei, przeniesieni bywają do bezpiecznego miejsca. Będąc w bezpiecznym miejscu, widzą teraz, że statek na którym wcześniej płynęli, nie był wcale taki bezpieczny.

Jest to łaska dana człowiekowi, jeżeli w porę zauważy, gdzie się znajduje i w porę zacznie szukać lepszej

nadziei i ratunku.

Dokładnie pamiętam ten moment, kiedy będąc jeszcze na moim statku, zaczął wiać silny wiatr, który spowodował, że statek się rozbił. Dziękuję Bogu, że Bóg go zniszczył. Gdybym nie został wyrzucony poza burzę, to z pewnością bym tam jeszcze siedział. Próbowałem się jeszcze uchwycić jakiś starych belek z masztu, ale poddałem się i zacząłem się rozglądać za innym ratunkiem i za innym bezpiecznym miejscem.

Zanim przyszedłem do Chrystusa powtarzałem sobie często: "To niemożliwe, abym mógł przyjść do Jezusa takim jakim jestem, że wystarczy w Niego uwierzyć, aby otrzymać zbawienie."

Przecież muszę coś czuć, jakoś na to zbawienie muszę zapracować. Wstydę się teraz, gdy o tym myślę. Tak bardzo chciałem być zbawiony, że jakby mi jakiś pastor powiedział "zrób to, czy tamto" to chętnie bym to zrobił. Gdyby do mnie powiedział: "Musisz zdjąć buty oraz skarpetki i zacząć biegać tam i z powrotem", to z pewnością bym to uczynił, po to tylko, aby być zbawionym. Ale uwierzyć w ukrzyżowanego Chrystusa, to było zbyt proste. Uwierzyć Jemu, zaufać w to, że On już wszystko dla mnie uczynił i przyjąć to? Jakoś nie mogłem tego ogarnąć. Odkryłem, że wszystkie moje dobre uczynki były grzechem. Modliłem się do Boga ze łzami w oczach i wołałem o przebaczenie. Zauważyłem, że wszystkie moje dobre uczynki były motywowane egoizmem, ponieważ chciałem się sam zbawić, więc nie mogły być one uznane przez Boga. Znalazłem dwa powody, z których wynikało, że moje dobre uczynki nie mogą mnie zbawić.

Po pierwsze: to tak naprawdę nie mogłem poszczycić się żadnymi dobrymi uczynkami.

Po drugie: gdybym nawet takie posiadał, to nie miałyby one żadnej zbawiennej mocy i nie mogłyby mnie uratować. Potem pomyślałem, że zbawienie można osiągnąć, jeśli zaufa się Chrystusowi i przez samoodnowę. Zacząłem ciężko nad sobą pracować i pomyślałem, że jeśli dołączę do tego odrobinę modlitwy, trochę własnych łez, trochę pokuty i kilka obietnic, że się trochę poprawię, to na pewno się uda, wszystko będzie dobrze. Wtedy usłyszałem te same słowa, które kiedyś usłyszał Zacheusz siedzący na drzewie - "Zejdź spiesznie!", „zejdź” ze swoich dobrych uczynków. Za jakiś czas znowu wspierałem się do góry na moją samowystarczalność, a Chrystus powiedział: "Zejdź na dół! Ściągnąłem cię na dół z twoich dobrych uczynków, to ściągnę cię również z twojej samowystarczalności." Zszedłem na dół i stałem się pewny, poczułem grunt pod nogami, a tu Jezus znowu do mnie mówi: "Zejdź niżej, jeszcze niżej." Zszedłem więc niżej i wtedy sobie pomyślałem: "Na pewno teraz wystarczy, na pewno teraz jest dobrze, teraz będę uratowany." I znowu usłyszałem głos nakazujący: „Musisz się jeszcze zniżyć, jeszcze niżej." Tak zniżałem się coraz niżej, gałąź po gałęzi, schodziłem w dół, aż znalazłem się naprawdę na dole. Opuściłem moje drzewo, które nazywało się "samozbawienna nadzieja." Będąc całkiem nisko powiedziałem: " Ja już tak dłużej nie mogę, przecież to mój koniec." Woda sięgała mi już po czubek głowy, nic nie widziałem, czułem się jak obcy i bardzo oddalony od ziemi obiecanej. Dochodził do mnie głos, wciąż powtarzający: "Zejdź jeszcze niżej, musisz się zniżyć. Twoja pycha jest za wysoko i dlatego nie możesz być uratowany." Byłem zepsuty, brudny i zły, nie potrafiłem się ugiąć przed Bogiem. Bo jeśli Bóg chce uratować grzesznika, musi go najpierw doprowadzić do pokory. Będąc w tym stanie próbowałem sam jeszcze coś zdziałać i własnymi siłami doprowadzić siebie do wiary. Wtedy usłyszałem cichy i łagodny głos, który mówił do mnie:

"Zarozumiały i nadęty człowieku, żebyś tylko wierzył! Chodź ze mną, a pokażę ci."

Wtedy wziął mnie Duch Święty za rękę i zaprowadził mnie w dziwne miejsce. A gdy tam tak stałem, to ujrzałem nagle kogoś na krzyżu. Spojrzałem, nie mając w sercu żadnej wiary. Spojrzałem na Jego oczy, z których leciały łzy, popatrzyłem na krew spływającą po Jego ciele w dół, widziałem Jego wrogów, którzy zgromadzili się wokół Niego, którzy ścigali Go, aż do końca. Widziałem Jego cierpienia, słyszałem Jego westchnienia, to czego się nie da opisać słowami. Patrząc tak cały czas na Niego, zobaczyłem jak otworzył swoje oczy i rzekł do mnie: "Syn Boży przyszedł by szukać i zbawić to, co zginęło."

Ewangelia jest jak błyskawica, jaśniejąca na niebie w piękny letni wieczór, która swym blaskiem rozświetla ciemności - piękna, wspaniała, ale kogo ona obchodzi, kto ją słyszy, albo w kogo ona trafi. Jest ona jak strzała, jak błyskawica, jak piorun wychodzący z nieba, który zawsze w coś trafi. Jest ona jak strzała, która potrafi przebić się przez zbroję, trafiając w cel, z którym została posłana. Jest ona głosem wołającego Jezusa, który wołał Marię po imieniu, a ta odpowiedziała "Rabbuni."

O, jakże dobrze pamiętam tę godzinę, kiedy wołał również i mnie słowami - „Przyjdź do mnie."

Gdy mnie tak wołał, to nie mogłem się oprzeć. Śmiałem się z religii, gardziłem nią, była ona dla mnie odrażająca. A teraz ten głos, to wołanie. Nie chciałem przyjść. Ale Chrystus powiedział - „Przyjdź” - mówił: „Każdego, którego Ojciec do mnie przyprowadza, nie odrzucam, a więc możesz przyjść."

Mówiłem - „Panie, ja nie chcę." A Jezus mówił - "Ale powinienes".

Chodziłem do domu Bożego, ale nie miałem zamiaru słuchać Słowa, lecz zawsze kiedy tam byłem, to po prostu musiałem słuchać, a Słowo przenikało moją duszę i nie mogłem się już więcej Jemu opierać. Słowo powalało mnie na ziemię, czułem jakbym miał połamane wszystkie kości, łamało mnie i kruszyło. Miałem wrażenie, że nie ma we mnie nic zdrowego. Moja dusza znalazła się jakby nad przepaścią. Widziałem, jaka kupa brudu tam się nzbierała. Wymienione musiały zostać z niej moje rzekome zasługi. Wymieciona musiała być moja wiedza, wszystkie moje dobre intencje i samowystarczalność. Zaczęły opuszczać mnie moje siły, moje wnętrze oczyszczone zostało ze wszystkich brudów, ujrzałem głęboki dół - wyglądał jak pusty grób. Z wielkim bólem w sercu patrzyłem na moją grzeszność i na pustkę, która została po wyprzątnięciu. Taką pustkę, że zastanawiałem się czy kiedykolwiek może być ona wypełniona lepszym, nowym życiem i czy w ogóle zdoła mnie ktoś jeszcze pocieszyć. Ale stało się jednak inaczej. Bo jeśli Pan chce coś zbudować, to najpierw musi się głęboko dokopać. Wtedy obdarza cię potrzebą głębszego poznania i jest dla ciebie bardzo łaskawy. Zanim ja zacząłem z Chrystusem, to wcześniej już On zaczął ze mną. Gdy ja z Nim zaczynałem, to byłem jak żebrak, nie mający nic, ale spodziewający się, że otrzyma wszystko od Niego. Gdy pierwszy raz spojrzałem na krzyż to wiedziałem, że byłem winny i na nic innego nie zasłużyłem, jak tylko na piekło. Nie było we mnie ani odrobiny niewinności, na którą mogłem się powołać. Wszystko było skończone. Doszedłem do granicy moich możliwości. Jeżeli teraz zostałbym wrzucony w ogień doświadczeń, to stopiłbym się całkowicie i nie zostałoby po mnie śladu. Wszystko co uznawałem za moje, teraz wydało się być kupą gnoju, wszystko było złe. Nic nie znalazłem w tym dobrego. Mogłem powiedzieć dokładnie to samo, co mówił Paweł o własnej sprawiedliwości – było to jak łajno. Paweł wyraził to jeszcze w delikatny sposób, określając jako łajno, ale jest to czymś jeszcze bardziej gorszym: "... i wszystko uznaję za gnój, żeby zyskać Chrystusa i znaleźć się w Nim nie mając własnej sprawiedliwości."

Nie wiem, czy to miało coś wspólnego z moją posturą, ale zawsze byłem do spraw bezpieczeństwa i do wszystkiego, co było mocne jak skała i nie opierało się na przemijalności. Jako młody człowiek tak

myślałem: „Jeśli jesteś chrześcijaninem, to według tego, co mówi Pismo nigdy nie zginiesz. Jeśli więc wierzysz w Jezusa, to jesteś teraz i na wieki uratowany – żadnego strachu przed piekłem, żadnego ryzyka, na całą wieczność pewny. Po śmierci zobaczę Jezusa i będę przebywał w Jego chwale.” Ale w ostatnim czasie słuchałem kazań o utrapieniach i nie życzyłem sobie nic innego, jak tylko być dzieckiem Bożym. Ach, gdybym miał pewność zbawienia!

Będąc jeszcze młodym chłopcem bardzo pokochałem Ewangelię, ponieważ ona dawała mi pewność tego, że Bóg nigdy mi nie pokaże drzwi, gdy jestem uratowany. Wiedziałem już, że na ludziach nie można polegać. Inaczej jest z Jezusem. Gdy Jemu uwierzę, to nie tylko mam szansę dostać się do nieba, ale mam to zapewnione. „To teraz” - pomyślałem sobie - „mam zabezpieczenie i to jeszcze jakie zabezpieczenie – najlepsze. Tu chcę moją duszę zabezpieczyć. Chcę iść do Jezusa takim, jakim jestem i On mnie takiego przyjmie. Zaufam Mu.”

Przypominam sobie ten czas, kiedy byłem tego pewny, że Jezus nie może mnie przyjąć, ale wiedziałem, że ja muszę Go kochać, ponieważ On umiłował innych grzeszników. Kiedy czytałem wspaniałe historie o Jego życiu i śmierci, wyobrażałem sobie, że leżę cicho u Jego stóp i mówię: „Ty mnie odrzucasz, ale pomimo wszystko jesteś błogosławionym Chrystusem. I jeśli miałbyś mnie przekląć, to przyjmę i to z Twojej ręki. Zrób ze mną co chcesz; ale Ty przecież ratujesz umierającego na krzyżu złoczyńcę, ty uwalniasz od siedmiu demonów. Nawet jeśli mnie nie uratujesz – to Ty jesteś Chrystusem, nie widzę w Tobie żadnego grzechu. Padam do Twoich stóp i oddaję Ci cześć.”

Był taki tekst Pisma Świętego, który tamtego czasu, wciąż i wciąż czytałem, którym miesiącami żyłem. Uginałem się pod ciężarem grzechu i nie znałem Zbawiciela. Bałem się, że Bóg swoim oddechem, dmuchnie na moją twarz i wtedy spali mnie płomień Jego żarliwego gniewu. Chodziłem do kościoła, ale ewangelii nie słyszałem. Potem nagle doszło do mnie to jedno jedyne zdanie i myślę, że to ono uratowało mnie od samobójstwa; to było piękne Słowo: „Kto będzie wzywał Imienia Pana Jezusa, ten będzie uratowany.” „I co teraz?” -pomyślałem- „Przecież nie wierzę w Pana Jezusa, chociaż bardzo bym tego pragnął, zatem nie znajduję przebaczenia. Ale mogę się modlić, modlić ze łzami i ze wzdychaniem, dzień i noc: « O Boże, Ty powiedziałaś, kto wzywa Twego Imienia, będzie uratowany. Ja wołam do Ciebie! Czy odepchniesz mnie od siebie? Powołuję się na Twoją obietnicę; otwieram moje serce w modlitwie – czy możesz potępić grzesznika, który szczerze wzywa Twego Imienia?»”

Byłem pod dużym wrażeniem pewnego spostrzeżenia mojej matki. Przez kolejnych wiele lat szukałem Chrystusa i ciągle nie potrafiłem uwierzyć w to, że On mnie wyratuje. Matka mówiła, że wiele razy słyszała o takich ludziach, którzy mówili bluźniąc Bogu, ale że jeszcze nigdy nie słyszała o takim człowieku, który by mówił, że szukał Chrystusa, a Chrystus go odrzucił. „I co jeszcze...”- dodała- „jestem tego pewna, że Bóg nigdy by na to nie pozwolił, aby człowiek tak mówił”.

A ja myślałem, że mogę tak powiedzieć. Myślałem, że ja Go szukam, a On odpycha mnie od siebie i postanowiłem, że będę tak mówił, z powodu niebezpieczeństwa, że On mnie zniszczy. Mówiłem to, co uważałem za prawdę, ale powiedziałem też sobie: „Chcę spróbować jeszcze raz” i zwróciłem się do Mistrza z niczym innym, jak tylko ze sobą, oddałem się w Jego miłosierdzie. Uwierzyłem, że On za mnie umarł i teraz – błogosławione niech będzie Jego Święte Imię! - nie mogłem już więcej powiedzieć, że On mnie od siebie odepchnął.

Matka miała rację mówiąc, że jeszcze nigdy nie słyszała o człowieku, którego by Bóg odrzucił, gdy ten

szczerze Go wzywał.